

Poranek w mieście. Gołębie pocałunki w różowawym świetle na szczytach dachów zwiastują nowy dzień mojego istnienia. Kaskada barw rozbrzmiewa w wilgotnym powietrzu, dyryguje przebudzenie. Pierwszy dzwonek tramwaju przestraszył ptaki. Płatki piór ocierają się o szyby, nikną w szczelinach murów. Mnożą się już cienie, niebawem zostaną zdeptane przez przechodniów. Później Upał-Kronos połknie jednym haustem różową chwilę miasta.

Postanowiłem odwiedzić śródmieście. Pokręcę się, popatrzę, pooglądam.

Jubiler zachęca do środka. Chodnik przed wejściem upstrzony błyszcznikiem z diamentów. Na ulicę wylał 20-karatową złotą polewę. Będzie rozdawał błyszczące owoce. Dla zakochanych różowe perły, czarne dla wdów, kremowe dla dzieci.

Piękne dziewczyny przeglądają się w witrynach sklepowych i łysiejący facet. Z pawlaczy wyjęte sandały, podkoszulki i krótkie szorty.

Konceptualne formy wizualne, jak małe dzieła sztuki rozmieszczone na elewacjach. Rzeźby stoją bez oczu, jakby w depresji. Chodzę po gwiazdach, przyklejają się do podeszwy. Deptakiem płyną kapelusze, rewia mody, publiczne występy, każdy czuje się kontent, jest w centrum.

Fontanna unosi się, opada, faluje, zdziwiona niebywałą sytuacją. Wiatr wszedł z nią w komitywę, kropelki wody roztrzaskuje o głowy w podzięce za grosik.

Kuchnie świata penetrują nozdrza, można się oblizać, albo wstąpić na grzaniec i czekoladowy pudding z wisienką, choćby na małą chwileczkę, byle się nie ubzdryngolić.

Przy pustym futerale, uliczny grajek rzępoli ciągle marzenie Schumanna, w całkiem niemodnym stroju. Dwóch kłownów cudaków rozśmiesza przechodniów, wciskają ulotkę i balonik.

Zrobię jeszcze zdjęcie Nikonem, jasne i uśmiechnięte. Wsiadę w 9-tkę na Gocławek. Już blisko stąd za miasto. Teren przeczeszę odpoczną:

Idę szerokim duktem leśnym. Jest przyjemny chłód. Aleja usłana liśćmi. Tegoroczne suche lato zrobiło spustoszenie wśród roślinności. Choć jest lato, drzewa zrzucają z siebie zielone okrycie. Idę po nich, szeleszczą, chcą coś powiedzieć. Słońce podpira się na wierzchołkach drzew. Jasne smugi światła chyboczą refleksami na ścieżce, głaszczą mnie przyjemnie. Zaglądam pod słońce, przydałby się Clear-view.

Nagle gdzieś w ogniskowej perspektywie, ogromna rzesza biegaczy i rowerzystów

Ale skąd w lesie masa krytyczna? Kolorowa kula stawiała się coraz większa, falowała i kiedy padł strzał, sunęła ku mnie, trzymana sztywno w szpalerze drzew. Niklowane szprychy iskrzą w słońcu. Kamizelki odbłaskowe migocą.

Jeśli zostanę, ta lawa przetoczy się po mnie i popłynie dalej.

Słyszę głos! Uciekaj!!! Nie mam czasu ustalić skąd dobiegł. Rzuciłem się w gęstwinę. Połamane drzewa i

paprocie hamują bieg. Pnącze jeżyn kaleczą łydki. Gałęzie jak bicze smagają twarz. Chcę unieść się ,po-
frunąć. We śnie łatwo się fruwa, trudno biega. Przewracam się co chwila. Byle jak najdalej, do mojej
polany, trzech dębów, tam będę bezpieczny.

Wreszcie dotarłem. Odgłosy ucichły. Cały byłem pokancerowany. Rozerwane spodnie, szyszka utkwiała w
podeszwie, but pokazał paszczę rekina. Teraz dopiero odczuwałem ból, pieczenie twarzy. Żeby tylko ja-
kiś pies mnie nie wytropił tutaj. Ludzie spuszczaają psy ze smyczy w lesie. Zostawiłem krwawy ślad po
sobie. Jestem ranną zwierzyną. Upatrzyłem sobie drzewo, ma nisko gałęzie, Wdrapię się szybko, w razie
czego. Oparłem się sztywno o pień drzewa, z tyłu nikt mnie nie zajdzie. Może tylko Driady, one porusza-
ją się bezszelestnie, są wszędzie w lesie, to moje przyjaciółki nie zrobią mi krzywdy. Wystarczy po-
dejsć do pnia drzewa, co najmniej 120 w pasie, wypatrywać, jeśli ukształtowania kory pokażą twarz Dria-
dy, tam właśnie jest Ona.

Na tej polanie, w śród trzech dębów, na najwyższej gałęzce, jak na odgromniku, wysiadywał często czar-
ny ptak i gaworzył z zasypiającym słońcem. Inny znowu wołał do znudzenia - Witia Kiryłło, Witia Ki-
ryłło. Życie w samotności to komfort, nie rozumię rozterek Robinsona Cruoe.

Za chwilę zrobi się ciemno. Mam kontuzjowane kolano, lekko utykam, podpieram się gałęzią. Znalazłem
swój Nikon, leżał rozbity na mchu. Muszę jednak dotrzeć do ludzi. Skradam się cichutko do szerokiej
alei. Spoglądam w obie strony, jest pusto, tylko ja jestem. Muszę tę ciszę wcisnąć w siebie, wcielić. Od-
grodzić się murem od zgiełku, głupich pytań, jazgotu pojazdów uprzywilejowanych. Wysokie drzewa ki-
wają do mnie z aprobatą. Nic nie mówią.

Uliczne latarnie zapaliły się samoczynnie

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest
stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z
dnia 4 lutego 1994r.).

Pulsar, dodano 26.04.2018 20:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.